EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 22 stycznia 1933 R. | NR. 4 (17)

Życie ideowe świata

Ludzie dziwnego nabożeństwa

Panorama Azji Sowieckiej

Książka i karabin

Z objazdu „Komisji Sędziowskiej"

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki
Listy do „Epoki".

AUTORZY: WASOWSKI. KRAWCZYŃSKA. ROGOWICZ. LUKREC.
ZRĘBOWICZ. KORNACKI. GROSTERN.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem R Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

»MOWA DO NARODU EUROPEJSKIEGO«

Julien Benda, niestrudzony obrońca wartości umysłowych i moralnych cywilizacji europejskiej, autor słynnej „Zdrady Klerków", ogłasza w styczniowym numerze „Nouvelle Revue Française" — „Mowę do narodu europejskiego".

Tem mianem obejmuje wszystkich, którzy, bez względu na swoją przynależność narodową pragną „stworzyć Europę", którzy myślą, że zagadnienie europejskie jest **przedewszystkiem** zagadnieniem natury moralnej.

Europa istnieć zacznie bowiem dopiero wtedy, kiedy się oprze na pewnym systemie wartości moralnych i estetycznych; kiedy uzna wyższość pewnych sposobów myślenia i odczuwania, a wzgardzi innemi.

Nawet ekonomiści, szukający sposobów ratowania Europy, odwołują się do strony psychicznej człowieka, zalecając mu zrewidowanie stosunku do pieniądza i zrozumienie, że gwarancją wartości tegoż nie jest ilość metalu będącego na składzie, ale zaufanie do czynników rządzących, a więc pierwiastek natury moralnej.

Stworzenie więc Europy będzie wymagało ujęcia nowej rzeczywistości ekonomicznej w pewne ramy moralne. Rozwój — pisze dalej Benda — powinien pójść tutaj tą samą drogą, jaką poszedł w ostatnich czasach rozwój Italji i Rosji Sowieckiej: drogą wychowania moralnego. Tylko że pragmatyzmowi nacjonalistycznemu przeciwstawi się pragmatyzm europejski, a jego apostołowie zwalczać będą namiętności nacionalistyczne „namiętnością rozsadku".

W dalszych wywodach „Mowy", Benda przypomina historyczne próby stworzenia państwa europejskiego przez Justjana, Karola Wielkiego, Hohenstaufenów, Inocentego III, Karola V i Napoleona. Przyczyny niepowodzenia tych prób autor widzi w tyrańskim charakterze działalności ziednoczycieli i w braku świadomego wysiłku narodów w kierunku akcji unifikacyjnej. Nie znaczy to, by dzisiaj nacjonalizmy już się przeżyły, ale w każdym razie pojecie Europy istnieje, chociaż dopiero w stanie embrionalnym. Przez tę fazę jednak przechodzą wszystkie idee, które w następstwie tryumfują nad światem.

PRZYMUSOWI WYCIECZKOWICZE

Istnieje w Niemczech, według przybliżonych obliczeń, przeszło pół miljona przymusowych wycieczkowiczów, którzy bez pracy i bez dachu nad głową tułają się za zarobkiem, za łyżką strawy po całej prowincji. Podkreślić należy przychylne ustosunkowanie się władz lokalnych poszczególnych dzielnic Rzeszy do tych przymusowych włóczęgów. Tak naprzykład w Bawarji gminy wiejskie obowiazane są udzielać bezpłatnych noclegów pewnej liczbie bezdomnych „wycieczkowiczów". Wille podmiejskie, puste w okresie zimowym, są rekwirowane na rzecz nieszczęśliwych wędrowców, którym też pobudowano na terenie Bawarji około tysiaca baraków. Niektóre prowincje Rzeszy z Wurtembergiem na czele zaprojektowały specjalne dowody osobiste dla bezdomnych, którzy będą się mogli z takiemi książeczkami meldować w posterunkach policji, której nakazano okazywać nieszczęśliwym szczególną opiekę i pomoc w razie potrzeby. Cały szereg stowarzyszeń charytatywnych, poza jadłodajniami i domami noclegowemi, otworzył też bezpłatne lub bardzo tanie poradnie lekarskie i apteki. Zaznaczyć też należy przyjazny stosunek chłopstwa względem przymusowych włóczęgów, którzy nierzadko po tygodniu siedzą „na garnuszku" w chłopskiej chałupie lub stodole, pomagając wzamian gospodarzom w ich pracy na podwórzu i w polu.

Mimo rozgałęzionej się coraz bardziej sieci kolejowej i mimo coraz tańszych aut, zbliżamy się wielkiemi krokami ku... średniowieczu. Wieki średnie znały takie tłumne wędrówki, — ówcześni jednak przymusowi wycieczkowicze byli zazwyczaj rzemieślnikami, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce, tworzyli jakgdyby wędrowne warsztaty, zaspakajające „napoczekaniu" przemysłowe potrzeby ludności wiejskiej. Pozatem handel odbywał się w tenże sam sposób, a gromady studentów także wędrowały za nauką z miasta do miasta, z jednego Uniwersytetu do innych. Śród różnic jakie zachodzą między średniowiecznymi a obecnymi „wycieczkowiczami" na plan pierwszy wysuwa się ta okoliczność, że podczas, gdy w średniowieczu wędrówki masowe miały swój sens społeczny, — w czasach naszych jest to tylko błąkanie się ludzi wytrąconych z normalnej kolei życia.

RZECZY ZAKAZANE

W *„Deutsches Theater"* w Berlinie, na żądanie policji, zdjęto w tych dniach z repertuaru sztukę młodego dramaturga węgierskiego, Juljusza Hay'a, p t. *„Bóg, Cesarz i Wieśniak"*, której akcja toczy się w epoce Soboru w Konstancji, a na scenie występują m. in. Jan Hus, cesarz Zygmunt i papież Jan XXIII. Powodem wrogich manifestacyj ze strony zarówno katolików, jak narodowych socjalistów, było właśnie nieprzychylne, chociaż zgodne z prawdą historyczną, potraktowanie przez autora postaci Papieża Jana, który za młodu korsarstwem się trudnił, a przez Sobór w Konstancji został „zdetronizowany" pod zarzutem rozwiązłego trybu życia.

Na skutek interwencji żydowskich stowarzyszeń akademickich zabroniono w całym szeregu uniwersytetów amerykańskich grać szekspirowskiego *„Kupca Weneckiego"*, dopatrując się w nim... „antysemickich tendencyj, kolidujących z poszanowaniem ładu i bezpieczeństwa publicznego..."

ANGLJA CIĄGLE OBLICZA...

Nakładem „Stationery Office" Jego Królewskiej Mości w Londynie ukazał się ostatnio trzeci tom „Dziejów Wielkiej Wojny", noszący tytuł „Straty wojenne" (tom pierwszy „Hygjena wojny" i tom drugi „Patologja wojny" ukazały się w 1923 r.). Nad tem ogromnem wydawnictwem (tom trzeci liczy 351 stronic druku) pracuje cały szereg pierwszorzędnych specjalistów z panną G. M. Smith i majorem T. J. Mitchell'em na czele.

Liczebny stan armji angielskiej w poszczególnych okresach wojny światowej przedstawiał się następująco: w przededniu wojny (oficerów i żołnierzy) — 212.355; w grudniu 1914 r. — 1.524.257; w 1915 roku — 2.666.281; w 1916 roku — 3.551.398; w 1917— 4.760.788; w 1918 roku 4.796.088, a w dziesięć lat później, czyli w roku 1927 — Zjednoczone Królestwo posiadało już tylko 187.084 oficerów i żołnierzy.

W tej różnicy ujęcia tematu, poza odmiennością materjału obserwacyjnego, odbiła się niewątpliwie i różnica pochodzenia autorów. Knickerbocker ma w ocenie faktów ekonomiczne nastawienie Amerykanina — Kisch, europejczyk i dziennikarz o literackich ambicjach, równie żywo interesując się psychologją człowieka, którego wciągnięto w nową formę bytu, cofa się chętnie do przeszłości, dla wydobycia barw kontrastu między jego życiem wczorajszem a rzeczywistością dzisiejszą.

Jakże ona wygląda w Azji Sowieckiej?...

Przedewszystkiem rząd bolszewików, przed wprowadzeniem swych reform, zmienił polityczno - administracyjny ustrój olbrzymich posiadłości środkowoazjatyckich Rosji carskiej, kierując się swym zasadniczym planem stworzenia z krajów dawnego imperjum związku republik rad. Na miejsce więc generał - gubernatorstwa Turkiestańskiego, państw emira Buchary i chana Chiwy, znajdujących się formalnie pod protektoratem Rosji, w istocie kolonij, (podobnie jak lenne królestwa maharadżów w Indjach Brytyjskich), utworzono szereg republik sowieckich i t. zw. republik autonomicznych. Pierwsze stanowią: Uzbekistan, Turkmenistan i Tadżykistan, drugie (autonomiczne), to Kirgizistan, Kazakstan i obwód Kasa - Kalpak.

Rzut oka na nową mapę Azji centralnej ujawnia, że owemi republikami autonomicznemi są najsłabiej zaludnione obszary stepowe i pustynno - górskie. Usunęto je na dalszy plan z całkiem zrozumiałych względów jako tereny dzikie, ekonomicznie narazie bezwartościowe. Tam też pozostawiono plemionom koczowniczym dawne formy bytu i poza zmianą nazw zapewne nic tu się nie zmieniło.

Kisch nie tracił też czasu na jałową i bezcelową wędrówkę po tych terenach. Polem jego obserwacyj stał się dawny Turkiestan rosyjski, Buchara i Chiwa, czyli dzisiejszy Turkmenistan, Uzbekistan i Tadżykistan. Tu zmieniono nietylko nazwę kraju, lecz i nazwę zamieszkującego go ludu. Etnografowie i historycy sowieccy orzekli, że Sartowie, jak powszechnie nazywano przed reżimem sowieckim tubylców Turkiestanu, jest nazwą pogardliwą (dlaczego — to już tajemnica językoznawców Wschodu). „Że należy mi przywrócić starożytne miana: Uzbeków („uzbek" znaczy po turkmeńsku: jeździec) i Tadżyków. Stąd i nazwa republik. Należy tu zaznaczyć, że autonomiczny „Kazakstan" — 3 miljony klm. kw. na wschód od morza Kaspijskiego i Aralskiego — nie ma nic wspólnego z kozakami. Słowo „kazak" to znów wskrzeszona historyczna nazwa Kirgiza.

Ta republika autonomiczno - sowiecka, obszarem 6 razy większa od Niemiec, to step i pustynia. Ale w stolicy Kazakstanu Ksyl - Ordzie, gdzie Kischowi wypadł nocleg w przelocie aeroplanem z Moskwy do Taszkientu, są elektryczne zegary na rogach ulic i kjoski z gazetami. Są też już ostrzyżone à la garconne młode komunistki (komsomołki) rodowite kirgizki, na które z ciężkiem sercem patrzą ich matki w czarczafach (zasłonach na twarzy) z wyżyny wielbłądzich garbów.

Należy objektywnie stwierdzić umiejętną politykę Sowietów we wciąganiu obcokrajowych mas w sferę reform komunistycznych. Ongi Ksyl - Orda nazywała się Ak - Meczet (Biały Meczet). Potem „Perowsk", ku czci generała Perowskiego, który kraj ten zdobył dla carów. Bolszewicy przywrócili nazwie miasta brzmienie *kirgizkie*, ale chrzcząc je: Ksyl - Orda, co znaczy... Czerwona Stolica. To jest, przyznać trzeba, nie tak głupie i drażniące, jak z Ak-Meczet zrobić nic nie znaczący dla ludności, jako wyraz, a nienawistny jako symobl „Perowsk".

To samo obserwować można w walce z analfabetyzmem. Niema w niej tendencyj rusyfikatorskich, lecz ściśle komunistyczne. Nikt nie zmusza Kirgiza, czy Sarta uczyć się czytać i pisać po rosyjsku, lecz w ojczystym języku, — ale... zamiast zawijasów arabskich, które czytać umieli tylko uczeni w piśmie, Sowiety wprowadzają alfabet łaciński, z kilku dodatkowemi literami tego samego typu, — ze względów fonetycznych.

Oczywiście, młody chłopiec, czy dziewczyna Turkestanu nauczywszy się czytać i pisać po „uzbeksku", czy „tadżycku", z własnej woli uczy się potem języka Rosjan, którzy im otwierają wrota karjery socjalnej, jeśli zostaną komunistami.

W rezultacie znajomość rosyjskiego staje się śród młodych azjatów coraz powszechniejsza, nie jako przymus polityczno administracyjny, lecz jako życiowa *atrakcja*. Złośliwa głupota metod rosyjskiej i pruskiej w dawnej Kongresówce, w Wielkopolsce i na Pomorzu ujawnia się w tem historycznem zestawieniu w całej pełni. Stanowczo, bolszewicy są sprytniejsi.

Z relacyj Kischa z pobytu w Taszkiencie, Samarkandzie, Chodżeńcie i innych ośrodkach starej muzułmańskiej kultury Azji Środkowej, wynika jeszcze jeden, niezmiernie charakterystyczny dla polityki Sowietów objaw. Znaleźli tu komuniści bardzo wdzięczny dla swej propagandy grunt... w uwarunkowanym przepisami Koranu położeniu socjalnem kobiety.

Odziedziczywszy po Rosji carskiej prestiż władzy nad krajowcami, opartej o siłę zbrojną, mogli z łatwością odegrać rolę wyzwolicieli kobiety muzułmańskiej z jarzma odwiecznej niewoli.

I odegrali ją — sądząc po cytowanych przez Kischa faktach i nowych obrazkach obyczajowych — z powodzeniem. Haremy, wielożeństwo, kupowanie żon, poddaństwo kobiety znikają tu wraz ze zdjęciem symbolicznej zasłony. Odsłaniając twarz, mieszkanka Azji centralnej odsłoniła wraz swą podatność do emancypacji. Władza sowiecka — trzeba to stwierdzić bezstronnie — wyzwoliła muzułmankę z tradycyjnego ucisku obyczajów wschodnich. Oczywiście, zyskała tą drogą sojuszniczkę nowego ustroju.

O ile w samej Rosji bolszewicy, z całą bezwzględnością tępią to, co uważają za przeżytek obyczajowy — tutaj licząc się z psychiką, wyrosłą na złożach wielowiekowej całkiem odmiennej kultury, postępują ostrożnie. Rząd sowiecki nie wydaje na terytorjum Azji Środkowej drakońskich rozporządzeń, któreby brutalnie odrywały ludność od tradycyjnych form bytu, widocznie zdając sobie sprawę, że wywołana przez to konieczność represyj opóźniłaby akcję rozwojową komunizmu. Niema zakazu noszenia nadal przez kobiety czerczafu, meczety mogą gromadzić wyznawców Proroka, nacjonalizacja produkcji stosowana jest oględnie.

A jednocześnie wydają władze Moskwy poważne kwoty na wprowadzanie tutaj zdobyczy nauki zachodniej w takich dziedzinach życia, gdzie korzyść bezpośrednia jest namacalna i oczywista dla najbar-

dziej nawet gorliwych zwolenników tradycji. Gdy Kirgiz, czy Sart porówna bezskuteczność w chorobie „czarów" mułły - cudotwórcy, z rzeczywistemi dla nich cudami rentgeno i elektroterapji w sanatorjach Taszkientu, czy Samarkandy — widzieć w tem musi przewagę potęgi po stronie nowych władców. Automatycznie pada w nim wiara w moc zaklęć mułły i zamienia się w wiarę, w potęgę nowego kapłana — sowieckiego lekarza.

Im bardziej zapełniają się nowe szkoły i szpitale, tem bardziej pustoszeją medresy (szkoły muzułmańskie o charakterze chederów żydowskich) i meczety. Ta automatyczna transfuzja wiary cementuje podwaliny nowego ustroju.

Człowiek dojrzały patrzeć musi na dokonywujące się przemiany w świecie otwartemi oczami — zamiast w dziecinnym uporze zasypywać je sobie piaskiem miłych mu frazesów lub zamykać je na autentyczną rzeczywistość. Może nam się to, co istnieje podobać lub nie — zaprzeczanie temu, *że istnieje*, nie zmieni samego faktu.

W swej panoramie dzisiejszej Azji centralnej Kisch pokazuje ogromne bogactwo faktów, naocznie skonstatowanych — i ta metoda nadaje jego relacji wartość informacyjnego dokumentu. Powstrzymywanie się od wniosków ostatecznych i proroctw podnosi znaczenie jego reportażu — czy dotyczy to zmian socjalno - cywilizacyjnych, czy ekonomicznych.

Tym również poświęca, rzecz prosta dużo uwagi, gdy mówi o krajach, które polityka gospodarcza Sowietów postanowiła w ostatnich latach obrócić na olbrzymi zbiornik tak ważnego w przemyśle surowca, jak bawełna.

Dorzecze dwóch wielkich rzek Azji Środkowej, Syr - Darji i Amu - Darji, wpadających do morza Aralskiego, obfituje w tereny, znakomicie się nadające pod uprawę bawełny.

Od niepamiętnych czasów produkowano ją tutaj na własne potrzeby. Obecnie rząd sowiecki przystąpił do realizacji planu zwielokrotnienia produkcji, która ma zaopatrywać cały Związek S. R. R. i być jeszcze poważnym artykułem eksportu. Kisch stwierdza trudności, irygacyjne, ściśle związane z temi zamierzeniami, lecz zarazem wielki nakład energji i wytrwałości, dążącej do przełamania przeszkód. Rozdział o bawełnie zawiera dużo ciekawego materjału i dla laika — bowiem autor pracy o zmieniającem się obliczu Azji Środkowej posiada dar przystępnego i barwnego przedstawiania różnych tematów, — czy będzie mówił o bawełnie, czy o walkach wojsk sowieckich z oddziałami niepoddających się nowym władcom plemion górskich (partyzantka ta trwa dotychczas tu i owdzie). Jest równie interesujący, malując portret duchowy Tamerlana, przy zwiedzaniu jego grobowca w Samarkandzie, jak kiedy opisuje nowe miasto przemysłowe Stalinabad, lub stawia czytelnika na przełomie dwóch epok w zdumiewających go nieraz scenach z dzisiejszego życia mieszkańców tej sławnej w dziejach średniowiecza krainy.

Książka Kischa mieni się kolorami, jak bajka wschodnia — bo autor łączy w sobie trzeźwość obserwatora z temperamentem artysty. To czyni z niej lekturę, od której trudno się oderwać.

Wacław Rogowicz

ODGŁOSY

LIBRO E MOSCHETTO

Na Wystawie Rewolucji Faszystowskiej (Mostra della Rewoluzione fascista) w Rzymie widnieje agitacyjny obraz: na otwartej książce leży karabin, a po bokach napis: „Libro e moschetto" (książka i karabin). Jest to hasło rzucone przez Mussoliniego w mowie wygłoszonej kilka miesięcy temu do młodzieży faszystowskiej. „Książka i karabin — to wasze uzbrojenie" — wołał wódz faszyzmu.

Jaką książkę miał na myśli Benito Mussolini?

Zapewne nie katechizm, tam bowiem znajdują się słowa: „Nie zabijaj". Ta więc książka nie pozostaje w zgodzie z rolą karabinu.

Nie mógł również zalecać jakiejkolwiek książki, która mówi o pokoju między narodami. I żadnej z tych, co podtrzymują autorytet Ligi Narodów, której członkiem jest Italja.

Książka, o której myślał Mussolini, nie miała też prawdopodobnie nic wspólnego z twórczością tej czeredy pisarzy, co jak Remarque, Dos Passos, Glaeser, Frey, ukazują dzisiejszemu pokoleniu całą prawdę o wojnie.

Również nie była to żadna z książek znakomitego historyka włoskiego Benedetto Croce, który — jako demokrata i wolnomyśliciel — nie ma życzliwości dla faszyzmu. Kilka lat temu Mussolini szydził z Croce, chwaląc się w parlamencie, że nie czytał ani jednej stronicy z prac tego wielkiego pisarza.

Oczywiście, nie była to też książka Guglielmo Ferrero o upadku państwa rzymskiego, w której ten z kolei historyk i socjolog włoski ukazuje nam katastrofalne dzieje i obraz tragicznego finału despotyzmu.

Jaką więc książkę zalecał Benito Mussolini?

Można się domyśleć, że nie należała do filozofji, wznoszącej umysł człowieka w wyższe regjony duchowe, tam, gdzie karabin nic nie ma do czynienia.

Może dzieło Dantego? Ależ w jego „Piekle" męczą się również możni tego świata, mężowie stanu i tyrani. Nie! Nie Dante, chociaż to największa chwała Włoch.

A może Carducci? Skądże znowu! To piewca wolności, duch — wieczny rewolucjonista....

Tedy — nie katechizm, nie powieść humanitarna, nie dzieło największych historyków włoskich, nie filozofja, nie szczyty poezji... Żadna z tych i takich książek, których pochwałę napisał sześćset lat temu kardynał d'Angerville de Bury w swym Philobiblionie: „O księgi, wyście kopalniami wiedzy, do której mędrzec posyła swego syna, by czerpał z niej skarby. Wyście studniami wody bijącej, kosztownemi kłosami, pełnemi ziarn, które zbierają ręce apostolskie, izby jako strawa słodka głodnym były dane duszom. Wyście piersiami pełnemi mleka żywota, niedającemi się nigdy wyczerpać. Jesteście jako te złote naczynia świątynne, jako bronie rycerzy ducha, ubezwładniających rycerzy zła. Jesteście jako owoconośne oliwki, winnice engadyjskie, nieschnące nigdy drzewa figowe i lampy płonące" (z przekładu Jana Kasprowicza).

Są książki, jak „ziarna w rękach apostolskich", są też inne — jak karabin w rękach szaleńca.

Jest „katechizm faszystowski" z dziesięciorgiem przykazań" — religijno - polityczny. Młodzież faszystowska uczy się tego katechizmu na pamięć. Są powieści pisane przez wierne sługi regime'u. Są nawet rozprawy historyczne, pisane tak, jak ongiś na rozkaz Fryderyka Wielkiego, który miał historyków-urzędników, „racjami" historycznemi usprawiedliwiających wszystkie gwałty swego pana.

Benito Mussolini miał na myśli książkę, której duch godzi się z urokiem karabinu, książkę zrodzoną z ducha koszar i podniecającą megalomanję narodową.

J. W.

ECHO WIELKOŚCI

Jak błyszczący klejnot za szybą jubilera zajaśniał refleks czasów minionych za witryną księgarni: tomik Stefana Żeromskiego p. t. „Dziennik podróży" *). Widok tej książki w niejednym przechodniu obudził żywsze uczucie, wzruszył, jak odgłos kroków po bruku w pustej uliczce, zwiastujących zbliżanie się drogiej, oczekiwanej istoty.

Zapiski te stanowią dokumenty wrażeń wielkiego pisarza, są jakby bezpośredniemi znakami duszy człowieka i artysty, nieprzełożonemi jeszcze na literacką mowę książki.

W „Dzienniku" są też zapiski natury nawskroś osobistej, które nigdzie nie były zużytkowane i one stanowią właśnie świadectwo poglądów pisarza, są wyrazami jego wielkiej zbuntowanej do głębi duszy, świadczą o wszechstronnem znawstwie sztuki, o czułej miłości ojcowskiej. Odsłaniają jednocześnie źródła nieznanych rozmyślań, oraz sądów o ludziach i zdarzeniach.

Ażeby jednak czytelnik mógł osiągnąć zbliżone chociaż wyobrażenie o wartości myśli i o cyzelowanych klejnotach słowa, rzucanych na papier notatnika w przejściu lub w przejeździe, — warto przytoczyć tutaj chociaż zdań kilkanaście:

„Wycieczka do Genui. Campo Santo. Nudne kamieniarskie roboty. Ani jednego pomysłu artysty. Takie zjawisko, jak śmierć wyzyskane na wszystkie boki przez osłów, którzy mu nadają teatralne grymasy, pozy, symbole.

„Jakaż to nędza leżeć pod takim nagrobkiem, gdzie pozostawiona rodzina uwiecznia siebie, stawia swoje posągi wzamian za wydane pieniądze niby to ku czci zmarłego. Cała lekkomyślność ludu włoskiego maluje się na tym cmentarzu. Nie tyle zresztą ludu, co jego burżuazji i szlachty" (str. 7).

Musisz walczyć o całego człowieka. Nie wierz, żeby zwalenie najazdu, zwalenie strupieszałych form skończyło pracę. Należy walczyć o całość ducha, o tego, który leży pod męką ciał, należy stwarzać wieczną rewolucję, która jest wieczną przemianą ducha i nieskończonem jego odrodzeniem" (notatnik 1906 — 1907 r., str. 48).

„Dokądże będziesz czekała kohorto poetów, mędrców, proroków, którzy na tarczach swych z dawien dawna mają wyryte imię Boga przyszłości. Wydajcie wojnę światu o cały ludzki duch i zemstę Boga sprowadźcie na świat" (str. 53).

„Papież, przechodzący w białej sutannie, czerwonym kapeluszu i czerwonych pantoflach. Pilnują go draby z karabinami, na których połyskują doskonale toczone bagnety. Jest to sługa Chrystusa, Baranka Bożego, otoczony policją" (str. 56).

„Dusza polska jest jak ziemia płonna, jak nowizna po skarczowanym lesie, spragniona nowego żywienia roślin. Rzucone ziarno w nią, w tę nowinę, w pierwszy raz równane jej skiby, rodzi bez miary. Łatwo hodować na nowinie, co kto chce. Lecz biada temu, kto przyjdzie do tej dziewiczej, świętej ziemi z czarnem nasieniem czarnej sotni..." (str. 58).

Tomik zawiera 125 stronic druku, sto dwadzieścia pięć kart duszy człowieka i artysty. Dziś wielu adeptów literatury, wielu słuchaczów na wydziałach polonistyki ma na ustach pytanie: czem byłby Stefan Żeromski, gdyby dożył naszych czasów. Sądzę, że pamiętnik ten, pisany tylko dla siebie, w czasie największej dojrzałości twórczej i gotowych, ustalonych poglądów na świat — daje jasną i niewątpliwą odpowiedź. Dziennik podróży daje odbicie umęczonej duszy Żeromskiego, każe razem z nim nietylko wędrować wśród skarbów sztuki miast włoskich i płynąć wzdłuż cudnych brzegów południa o zachodzie słońca, ale zmusza też do łączenia się wraz z twórcą w poczuciu piękna, udręki i buntu. Książka zostawia długą bolesną zadumę.

H. Lukrec

*) Recenzja z „Dziennika Podróży" zamieszczona była w n-rze 2-gim (15) „Epoki".

Z OBJAZDU TEATRALNEJ »KOMISJI SĘDZIOWSKIEJ«

Blisko dwa miesiące temu Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, chcąc uczcić 25-lecie rocznicy śmierci wielkiego piewcy państwowości polskiej, St. Wyspiańskiego i dźwignąć teatr z obecnego marazmu i bezmyślności repertuarowej, ustanowiły trzy jednorazowe nagrody po 2000 zł. każda; jedną dla reżysera—inscenizatora, który wystawi najoryginalniej, najbardziej artystycznie i w głębokiem ujęciu jeden z utworów Wyspiańskiego, drugą dla malarza - dekoratora, który w tym samym repertuarze stworzy najbardziej celową i artystyczną oprawę dekoracyjną, trzecią dla artysty dramatycznego, lub dla artystki dramatycznej, którzy stworzą silną, głęboko odczutą i wszechstronnie przemyślaną kreację aktorską w jednym z utworów Wyspiańskiego.

P. dr. Zawistowski, jako piastun tego oryginalnego pomysłu, nawiązał kontakt ze wszystkiemi teatrami w Polsce, ustalił terminy przedstawień, poczem powołał w imieniu p. ministra specjalną komisję sędziowską, składającą się z pp. Stanisława Stanisławskiego, p. Juljana Wołoszynowskiego, oraz niżej podpisanego.

Zadaniem komisji było objechać w ciągu dwóch tygodni wszystkie niemal teatry w Polsce, być na wszystkich przedstawieniach urządzonych ku czci St. Wyspiańskiego, zebrać odpowiedni materjał krytyczny, ocenić gruntownie wszystkie kreacje aktorskie, reżyserskie i dekoracyjne, poczem zaproponować p. ministrowi trzech kandydatów do nagrody, oraz szereg kandydatów do zaszczytnych wyróżnień.

Wyznam szczerze, że tak zaszczytne zaproszenie do komisji sędziowskiej uradowało mnie niezmiernie.

Polska kultura teatralna ma już ustaloną opinję w Europie. Dramatyczna twórczość Wyspiańskiego jest jej najpełniejpszym wyrazem i to wyrazem, któ-

ry odbił się głośnem echem po całej Europie. Wyspiański zaś — to istna kopalnia niewyzyskanych, ukrytych, lub przeoczonych możliwości reżyserskich, dekoracyjnych, aktorskich, świetlnych, kostjumowych, muzycznych, chóralnych, zespołowych. Ileż w teatrze Wyspiańskiego tkwi możliwości i zagadnień w dziedzinie stylu i ekspresji? Twórczość nieśmiertelnego autora Wesela, Wyzwolenia, Nocy Listopadowej, Sędziów, czy Akropolisu, daje pole do popisu niemal dla wszystkich wyznawców przeróżnych autoramentów i konfesji. Jest więc miejsce i dla naturalizmu, i dla ekspresjonizmu, impersjonizmu, i dla zwolenników Craiga, Tairowa, czy też Edmunda Roberta Jonesa, słowem dla tych wszystkich kierunków, przez które przeszła sztuka teatralna w ostatniem ćwierćwieczu. A ileż ponadto nieznanych i nieprzeczuwanych dotychczas możliwości ekspresyjnych tkwi w realizacji sztuk Wyspiańskiego? Bo Wyspiański był nietylko wieszczem, nietylko piewcą państwowości polskiej, nietylko krzykiem sumienia narodowego, ale także wymarzonym dyrektorem teatru, ale również genjalnym reżyserem i malarzem—dekoratorem. Że Wyspiański jest kamieniem węgielnym przyszłego odrodzenia teatru w Polsce, o tem wszyscy wiedzą i nikt nie zamierza pod tym względem polemizować. Kiedyś, po wielu, wielu latach, gdzieś w dalekiej przyszłości powstanie niewątpilwie polski Beyreuth dla tej jedynej w swoim rodzaju twórczości, przypominającej oczywiście tylko zewnętrznie wielkie cykle Ryszarda Wagnera.

Takie mniej więcej myśli i refleksje towarzyszyły mi, gdym wyruszał w tę podróż objazdową po całej Polsce.

Pierwszym naszym etapem był teatr w Katowicach, który na popołudniowem przedstawieniu, przy szczelnie wypełnionej młodzieżą szkolną widowni zaprezentował nam „Noc Listopadową" w reżyserji Jana Kochanowicza i w oprawie scenicznej p. Stanisława Węgrzyna. Widowisko było sumiennie opracowane, ale nie przekraczało ram przeciętności. Rolę Konstantego kreował p. Wiktor Arnoldt, artysta niewątpliwie zdolny, może zanadto wpatrzony w dynamikę Stefana Jaracza. Ponadto dekoracja Łazienek mile zwracała uwagę swemi efektami perspektywicznemi.

Dalszym etapem niecierpliwie przez nas oczekiwanym był Kraków, gdzie, jak wiadomo skoncentrowały się uroczystości ku czci Wyspiańskiego. Wspaniale przez miasto zaaranżowana atmosfera ku czci Wyspiańskiego, zjazd pisarzy i malarzy z całej Polski, podniosła wymiana zdań, wysoki poziom referatów, przemówień i kazań, magja witrażów w kościele franciszkańskim, przebogata, pełna nieznanych eksponatów wystawa obrazów Wyspiańskiego w Towarzystwie Sztuk Pięknych, niezmiernie interesujący pokaz typograficznego dorobku mistrza, imponujący, nastrojowy przy blasku pochodni pochód związków, korporacji i ludu krakowskiego na Skałkę, uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej na ścianie kamienicy, gdzie dawniej stał dom, w którym Wyspiański napisał „Wesele", wreszcie ostatnia światowa atrakcja Krakowa w postaci zmartwychwstałych arcydzieł rzeźbiarskich Wita Stwosza, na których przy obecnej restauracji odkryto nadzwyczaj cenną malaturę temperową z wizerunkiem rynku krakowskiego na czele — oto przebogaty i niezapomniany plon uroczystości podwawelskich ku czci Stanisława Wyspiańskiego. Uwieńczeniem ich były przedstawienia w teatrze im. Jul. Słowackiego. W pierwszym dniu dano „Wesele", w drugim „Śluby Jana Kazimierza" i „Wyzwolenie". Pan Osterwa w roli Konrada stworzył głęboko przemyślaną i nader pięknie skomponowaną kreację. Dzięki umiejętnemu i logicznemu akcentowaniu tego świetnego artysty nie jeden słuchacz na widowni zrozumiał po raz pierwszy istotny sens „Wyzwolenia".

Co się zaś tyczy dalszej obsady ról, wysunęli się na czoło pełna wdzięku i prostoty wyrazu p. Barbara Ludwiżanka, jako Panna Młoda, p. Władysław Woźniak w stylowo opracowanej roli Szeli i p. Eugenjusz Solarski, jako pan młody. Reżyserja i dekoracja nie przekroczyły przeciętnych ram tradycjonalistycznego ujmowania, a nawet w kolorycie ścian izby weselnej, popełniono błąd, jeśli się zważy znane intencje Wyspiańskiego. Natomiast grubym dysonansem, namiętnie przez publiczność komentowanym było ucharakteryzowanie się widma na podobieństwo St. Wyspiańskiego. Robiło to wrażenie makabryczne. Przepiękną była recytacja p. Karbowskiego w roli Jana Kazimierza. Reszta zespołu potraktowała swe role w niewytrzymującym już dziś krytyki, patosie romantyczno - melodramatycznym, który, nawiasem mówiąc, sroży się we wszystkich prowincjonalnych teatrach w rozmiarach zatrważających, i z którym jak najenergiczniej winny walczyć nasze szkoły dramatyczne i krytyka teatralna.

To też nadzieje moje w stosunku do teatru krakowskiego, posiadającego tak wspaniałe tradycje, doznały mocnego zawodu. Od tej chwili wysoko założone kryterja całej komisji zaczęły coraz niżej upadać, przystosowywać się do przeciętnych wymagań publiczności i pobłażliwie oceniać następne widowiska.

Na tem tle przemiłą już niespodzianką było przedstawienie „Sędziów" w teatrze częstochowskim, podane — mimo ciężkich warunków materjalnych, w bardzo starannej, choć może zbyt schematycznej inscenizacji i reżyserji Iwona Galla, utalentowanego i fanatycznego rzecznika twórczości teatralnej.

Dalszy pochód Wyspiańskiego przez estrady byłego zaboru pruskiego uwidocznił niestety prymitywny poziom kultury teatralnej, fatalną dykcję, brak talentów aktorskich, słabość djalogów, przeciętność reżyserji i inscenizacji, banalność scen zespołowych.

Jaśniejszemi na tem tle punktami były: szlachetnie przeprowadzona rola Zygmunta Augusta przez młodego, utalentowanego aktora, Stefana Czajkowskiego w poznańskim teatrze Nowym, pomysłowe dekoracje do Akropolis Zygmunta Szpingiera, wdzięczny epizod sceniczny p. Jadwigi Żaklickiej w Teatrze Polskim w Poznaniu, wyróżniona przez jury dekoracja izby weselnej p. Krassowskiego w Bydgoszczy, p. Wanda Zbierzowska wyróżniona za rolę Jewdochy w teatrze toruńskim, oraz poznańska i pomorska publiczność, która z głębokiem skupieniem śledziła nieraz bardzo prymitywnie zainscenizowane dramaty Wyspiańskiego.

Przyszły historyk teatru w Polsce uzna niewątpliwie spektakl „Wesela" w Łodzi za jedyny i bezprzykładny skandal w swoim rodzaju, a za nieprawdopodobną wiwisekcję, dokonaną przez ołówek reżysera na tekście tego genjalnego utworu rodzina po Wyspiańskim winna dyrekcja pociągnąć do sądowej odpowiedzialności. Dramat pocięto z jakąś pasją barbarzyńską. Usunięto z niego to wszystko, co łączy się

z Polską i jej narodowemi symbolami, natomiast przywrócono mu unikane zwykle najdrastyczniejsze słowa i zwroty ku niezdrowej uciesze licznie zebranej młodzieży szkolnej.

„Powrót Odyssa", wystawiony we Lwowie był przepięknem widowiskiem, i ono wraz z Weselem w Teatrze Narodowym odpowiadało względnie idealnie finalnym celom konkursu. Muszę tu szczególnie podkreślić wysoce oryginalną dekorację p. Andrzeja Pronaszki, który jak wiadomo, został lauretem nagrody. Ponadto wielki wysiłek reżyserski i aktorski p. Strachockiego, zasługuje na sprawiedliwe wyróżnienie.

To samo mutatis mutandis można powiedzieć o nader starannem, pełnem pietyzmu przedstawieniu Zygmunta Augusta w Wilnie, gdzie inscenizator, dekorator, reżyser i aktor, w pełnej ze sobą harmonji zdołali stworzyć istotne tło, byle tylko wysunąć na pierwszy plan walory wspaniałej polszczyzny Wyspiańskiego. To też Wilno pobiło rekord i otrzymało za ten akt hołdu dla poety największą ilość wyróżnień.

Widowiska „Sędziów" w Lublinie i Łucku wyczerpały plan objazdowy komisji. Szczególnie teatr w Łucku, spełniający ciężką misję kulturalną na kresach wschodnich, wystawił „Sędziów" ze wzruszającą zwłaszcza w pierwszej części starannością, czego, mimo mocnych akcentów Jaracza i szczęśliwych pomysłów reżyserskich na tle zebranego sądu, niemożna powiedzieć o przedstawieniu w „Ateneum".

A teraz, jakie są końcowe refleksje? Brzmią one nader pesymistycznie, Suma sumarum, stan sztuki aktorskiej w naszych prowincjonalnych teatrach jest opłakany, a gdy zważymy fatalną dykcję, kompletny brak analizy roli, słabość djalogów, nieruchomość mimik, banalność scen zespołowych, a ponadto rozkład organizacyjny Zaspu, skandal z Teatrem Artystów, brak talentów wśród młodego pokolenia artystów, a przedewszystkiem chaos i upadek repertuaru, to perspektywy sztuki aktorskiej na najbliższą przyszłość przedstawiają się wręcz ponuro.

Roman Zrębowicz

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

TUWIMOWA GÓRA

Czytelnicy wolą zawsze, by ulubiony ich poeta miał jedno nastawienie twórcze, jeden ściśle określony kierunek, pewną „doktrynę" twórczości. Krytycy cieszą się, gdy zdołają w jednem zdaniu, albo w jednem słowie zamknąć określenie tego kierunku, gdy uda się im nazwać po imieniu tajemnicę twórczości. Łatwo tego dokonać z poetami tak mistycznymi, jak Shelley, lub tak społecznymi jak Whitman, niechże jednak śród mnóstwa doznań poetyckich żaden kierunek nie przeważa, niech zbiór poezyj nie przesycony będzie jedną wspólną treścią, wówczas trudno zadośćuczynić ludzkiej potrzebie nadawania uogólniających nazw, — wówczas nieporozumienie się rodzi między czytelnikami, a poetą, którego jedyną przewiną jest złożoność, różnorodność, bogactwo tonów psychicznych.

Tuwim nie należy do tych słoneczników, które obracają się wokół jednej idei. Podobnie jak poprzednie, ostatni tom jego wierszy (Bilblja Cygańska. Nakład J. Mortkowicza. Warszawa 1933), świadczy, iż poeta pod względem wielostronności swych zaciekawień artystycznych porównany być może raczej do góry, którą różne klimaty w różne krajobrazy stroją.

Mamy więc miasto u stóp z wiosną na Powiślu, mamy kamienice i strasznych mieszkańców, zachody słońca i nie mniej fantastyczne ballady i groteski, serdeczne trawy i cudne śpiewy słowicze, — mamy całą moc przeważnie świetnych wierszy, świetnych zarówno w dowcipie, ironji, jak w kolorycie, śpiewności, metaforze, point'cie. Różnorodność tematów takie sprawia wrażenie, jakbyśmy na wystawie w Ipsie lub Zachęcie koncert słyszeli i nie mogli odróżnić, co lepsze, — melodje czy obrazy.

Rozsypana tu i owdzie garść banalnych wierszy nie osłabia wrażenia, że przeważnie jednaką troską i jednaką sympatją darzy poeta pomysł każdy, nie dopuszczając zarazem do głosu w procesie tworzenia żadnych naogół tendencyj wtórnych, żadnych programów, teoryjek, ideologicznych credo czy veto. Jeśli ośmieliłem się „Biblji Cygańskiej" nadać symboliczny kształt góry, to dlatego tylko, iż w zbiorze tym dostrzegłem nowy ton, — nowy przez swą górzystość psychiczną.

Nie powiem, by widok na niebosiężne Himalaje duchowe odsłaniał przed nami Tuwim w tych wierszach, niemniej jednak treścią kilku z nich jest patrzenie na świat z wyżyn, — patrzenie wcale nie pozerskie, lecz prawdziwe i szczere. Coś się oddzieliło od Tuwima z poprzednich tomów poezyj, coś weszło na górę wyniosłą i z góry patrzy na świat. W dole leży złota polska jesień, a hen, ponad głową błękitnieje „ojczyzna nieziemska".

W większości utworów swego ostatniego tomu Tuwim, niby wirtuoz, każe się podziwiać, te jednak trzy — cztery wiersze sprawiają wrażenie, iż autorowi ręka drżała, gdy je pisał. To już nie popis, — to sam Tuwim. Niepozorne, maleńkie wierszyki, a z tej samej materji utkane, co dusza artysty.

Złośliwi mogliby na podstawie dwuch najpiękniejszych wierszy (O sobie, Dancing), dopatrywać się li tylko wpływu kieliszka na odrywanie się poety od zjawisk ziemskich, jednakże powtarzający się raz po raz w tym zbiorze leitmotyw śmierci każe się doszukiwać innych, bardziej wewnętrznych przyczyn wzlatywania zachwytami w nieziemskość. Mniejsza zresztą o powody, dla jakich poeta musi „ziębnąć w świecie innym" i wzdrygać się z obrzydzenia na widok życia własnego, oglądanego w świetle jupiterów wieczności. Skłonni jesteśmy przypuszczać, iż wyniosła Tuwimowa góra jest poprostu wypadkową całej dotychczasowej jego spuścizny poetyckiej, przeobfitej w różnorodność nastawień, kierunków, treści.

Nie opisuje nam Tuwim swej górskiej „ojczyzny nieziemskiej". Tęskni do niej, a wraz z nim tęsknią meble w jego pokoju, — tajemniczeją rzeczy i zdania fantastycznieją. Sprawdza się na przykładzie Tuwima twierdzenie głoszące, iż tęsknić można tylko po tem, co się zna. W dwuch wierszach odkrywa przed nami poeta drogę, którą wznosi się i spływa jego poznanie „Nieziemskiej". Raz będzie to halny wiatr wiejący z wyżów psychicznych, („O sobie"), ojczyzna, która nachodzi, — kiedyindziej znów wznosi się do niej Tuwim. Czytając ów drugi wiersz (Dancing),

zdaje się nam, że wśród tańczących par w nocnym barze miga coś białego, jak śnieg górski, że owiewa nas chłodne rozrzedzone powietrze wyżyn, w których cisza podchmurna „muzykuje".

Będziemy podziwiali następne wiersze, będziemy się zachwycali ich błyskotliwem bogactwem, ich maestrją, wojną kolorów i brzmień, jednakże najsilniejsze, niezapomniane wrażenie Tuwim w nas budzi, Tuwim klęczący „na łączce" w barze nocnym, Tuwim — zachwyceniec, „prawie święty", wypatrujący nietutejsze oczy swej ciszy górskiej, — swego szczytu.

J. K.

ZAZDROŚĆ NA STOLE OPERACYJNYM

Dziwna to jest rzecz z tą zazdrością! Literatura usiłuje zohydzić ją nam od wieków i osiągnęła tyle, że wszyscy potępiają ją — u innych, nigdy — u siebie. Nawet obrońcy nierozerwalności małżeństwa otrząsają się ze wstrętem na Otellów i Wojewodów, chociaż powinniby rozumieć, że to kwiaty z ich własnego ogrodu. Natomiast ludzie, domagający się wolności w życiu erotycznem i korzystający z niej sami, w praktyce stosują tę wolność tylko wtedy, gdy nie są zainteresowani głębiej pod względem uczuciowym. Mężczyzna usuwa się przed innym mężczyzną z miłym uśmiechem i przyjaznem uściśnięciem dłoni i odstępuje mu żonę lub nie żonę, jeżeli sam jej nie kocha. Kobieta, najbardziej nawet wyzwolona w swojem mniemaniu, nietylko jest zazdrosna o kochanego mężczyznę, ale wyraźnie wymaga, ażeby był zazdrosny o nią. Bez tej cechy pogardzanego powszechnie Otella, nie wiem, czy udałoby się komu zdobyć nawet nabardziej zaciekłą bojowniczkę wolności erotycznej.

Inną jest rzeczą uzewnętrznianie tego uczucia, które, pod nakazem kultury czy pod grozą śmieszności, może być hamowane żelazną ręką hartu i opanowania, albo też — co widzimy codziennie — załgiwane misternie, jak i inne uczucia współczesnego człowieka.

Michał Choromański, którego wędrówki po ciemnych zakamarkach duszy ludzkiej wzbudzają już od paru lat głębokie zainteresowanie czytelników polskich, dał nam w swej ostatniej powieści pt. Zazdrość i medycyna mocne dzieło swego kunsztu analityka. Przeżywamy tydzień męki z zazdrosnym mężem, człowiekiem inteligentnym i wyzwolonym w zasadzie. Ale na ten tydzień staje się jego dewizą twierdzenie, że prawdziwa miłość nie cofa się przed żadną podłością. Więc popełnia te podłości jedną za drugą: uczy się na pamięć wyznań porzuconej i zmarłej już kochanki (zamiast je rzucić do kosza), szpieguje swą żonę, bada jej przeszłość, przepytuje o nią szereg obcych ludzi, każe obić człowieka, którego podejrzewa o romansowanie z nią, wreszcie przygotowuje z nędznym pół-trupem żydowskiego krawca przyłapanie kochanków na gorącym uczynku. Gdy wszystko jest już przygotowane i ów krawiec śpieszy po męża, powstrzymuje go w drodze nieprzewidziana przeszkoda: zostaje rażony prądem elektrycznym zwisającego przewodnika.... I w tej samej chwili pryska urok, którym był omotany nieszczęsny mąż: powraca znowu z zupełnem zaufaniem do żony, która przychodzi właśnie ze schadzki miłosnej. „Zupełnie złamany, lecz jednocześnie do głębi szczęśliwy, Widmar powiedział ze wstydem i pokorą:

— Przepraszam cię bardzo.

— Niema za co — odpowiedziała prosto."

Nietoperzowa zjawa podłego człeczyny jest w życiu Widmara symbolem PODEJRZENIA i źródłem udręczeń. Nieszczęśliwym czyni go nie fakt zdrady — o której czytelnik wie jak najdokładniej — ale utrata zaufania do ukochanej kobiety. Podejrzenie zastygło na drodze publicznej z wyciągniętemi rękami — i Widmar ozdrowiał. Rebeka może już spokojnie snuć dalej rozpoczętą listę kochanków...

Ośrodkowym punktem powieści jest mistrzowskie opowiadanie o trudnej, niebezpiecznej operacji, wykonanej przez doktora Tamtena, która staje się dla chirurga początkiem wielkiej miłości jego życia, dla Widmara — pożywką zazdrości. Na tym stole leży nie kobieta w ciąży pozamacicznej, — lecz dwie siostry bliźniacze: miłość z zadrością, którym autor wywraca trzewia, zapuszczając w nie błysk swego olśniewającego talentu. Analityk — tak, ale również konstruktor, któremu — jak wolno wnosić — przypadnie jedna z ról przodujących w procesie wznoszenia powieści polskiej na wyższy poziom.

B. I. B.

NOCTURN

(Dokończenie)

Po jednej stronie okien pada deszcz. Po drugiej stronie okien płyną łzy. — To Panicz Łukaszek tak płacze. Ucieka od okna, do okna, a goni go Hektor, kucharka Magdalena, rządca Bajorek i pisarz Wiewiórka. Każdy czegoś chce, każdy chce pocieszyć, każdy się sili odznaczyć co czulszemi słówkami, zanim stryj Józef nie przyjedzie.

A stryj przyjedzie już jutro. Na pogrzeb dziedziczki.

Dziedziczka leży w salonie na dywanach i w trumnie, obstawiona świecami i ludźmi.

— Świece mogą się palić, ale ludzi wygońcie! woła Panicz. Już sto razy tak woła i daremnie.

— Toć nie można! twierdzi rządca Bajorek.

— Nie uchodzi! chrząka pisarz Wiewiórka. Magdalena także się sprzeciwia i przekłada rękami pod fartuchem, że to brzydko i wstyd od nieboszczki życzliwych odganiać. Żadną miarą nie można!

Panicz tedy płacze. Z żalu i ze złości. Żal ze złością się sprzysiągł i wyłudza łzy. Bo też Panicz wcale płakać nie chce. Płakać...? Nie.....! Chce Łukaszek jeno myśleć o matce, myśleć choćby przez jedną godzinę, ale bezprzestanku. Myśleć każdą myślą.

Tylko, że nie można tego, co się chce, nie można, bo wszystko przeszkadza. I Hektor i deszcz i Bajorek i wszystko, a nadewszystko ludzie, obcy ludzie w salonie, na dywanach na klęczkach przy matce.

Więc i żal, że nie można myśleć bezprzestanku i złość, że świat cały sprzysiągł się przeszkadzać, — żal i złość targają Łukaszkowe serce i wymuszają łzy, których nie chce wcale.

A Agata także nie chce, żeby Panicz płakał. Panicz!... Nie! to przyjechał kto inny! Bez okwitły nie jest bzem kwitnącym, a Panicz Łukaszek bez swego uśmiechu, to zupełnie, jak uwiędły bez. Na Hektora ani spojrzał, od kiedy przyjechał, do ogrodu ani zajrzał i płacze. Płacze, jakby on był temu winien, że Dziedziczka — nieboszczka utonęła w kąpieli, jakby to on jej kazał, poradził, czy napisał na liście z miasta. Ech!...

Ale cicho!.. Panicz się zamyślił. Stłumił łzy, na oknie siadł, zmarszczył brew i myśli. Długą chwilę. Potem oczy przymknął, by nie patrzeć, potem uszy zasłonił rękami, potem westchnął i zacisnął szczęki i myśli. Długą chwilę. Z całej siły. Przez gwałt.

Odstąpili. I rządca Bajorek i kucharka Magdalena, nawet Hektor. O trzy kroki stanęli i patrzą. Panicz myśli. O czem Panicz myśli?..

Ale Panicz nie myśli o matce. Stara się i udaje, zmusza się i łamie, ale niema ani jednej myśli, któraby była o matce. O wszystkiem innem myśleć może. Nawet łatwo. Gładko i bez trudu, potoczyście i jak nową bryczką, tak biegną myśli o wszystkiem innem, o wszystkiem innem, ale nie o matce. Byle nie o matce!... Okropność!!!

Znowu płyną łzy, a za oknami deszcz pada. Znowu i znowu.

**
*

Poszła zobaczyć co jest. Za oknami na dworze noc głucha, Magdalena w oficynie z babami rajcuje, stary Ignac dawno poszedł spać. Przestał padać deszcz i gwazdy błyszczą na niebie. Pachnie ogród.

Przez szpary w okiennicach durch świeci na parterze w salonie. Pewnie świece przy Dziedziczce — nieboszczce się palą, a Łukaszek czuwa. Sprobowała drzwi od kuchni, ale były otwarte. Weszła. Potem do stołowego. W stołowym na kredensie ćmiła się lampeczka, a w rogu stało łóżko polowe zasłane. Dla Łukaszka. Blisko matki tej nocy chciał spać.

Pod drzwiami od salonu Hektor leżał, lecz go nie dostrzegła. Miała na myśli popatrzeć troszeczkę przez dziurkę od klucza, ale nastąpiła w mroku na łapy Hektora, więc pies się zbudził i narobił krzyku. Coś się poruszyło za drzwiami w salonie, a potem Panicz stanął na progu. Łukaszek.

— Kto tam?
— To ja....
— Czego chciałaś?
— Ja nic... Tylko Panicz nic nie jadł...
— Dobrze, że przyszłaś! — Nie, jeść nie będę.
— O jej!
— Jutro przecież pogrzeb...
— Tak... jutro...

Dlaczego tak biło jej serce?! — To pies ją nastraszył. Napewno! Ach, pies! wszystkiemu pies winien!.. Weszła do salonu za Łukaszkiem i pod świecami stanęła. Przy trumnie.

— Patrz! — widzisz?
— Widzę, paniczu...
— Zupełnie, jakby spała...
— Może śpi?
— Nie!

Kołysały się tam — sam, tam — sam, smukłe płomienie świec i rzucały na twarz Jaśnie Pani blask ruchliwy, cieniami podbity, żywy jak oddech. W blasku tym śmiało się zmarłej oblicze i gniewało naprzemian, przybierało tysiące wyrazów wyrażało całe mnóstwo myśli i żyło. W trumnie. Pod świecami.

— Chodźmy, Paniczu!
— Dokąd?
— Chodźmy z tąd, Paniczu!
— Dlaczego?
— Boję się!
— Boisz się...?!

Pierwszy raz się uśmiechnął. Zdawał się w oczach i w głębi radować, że oto ona boi się, dziewczyna, gdy on tymczasem nie boi się wcale. Wziął ją za rękę i objął ramieniem. Obrońca.

Ale mu drżała w rękach coraz bardziej. I na piersi, i przy twarzy, i w biodrach. Zajrzał jej w oczy życzliwie i przemówił ciepło: — Boisz się? Jesteś jeszcze mała?

— Boję się! Chodźmy!

Gdzie mieli iść?... Krzeseł przy stole nie było, tylko w kącie bieliło się zasłane łóżko. Siedli na łóżku. Przy sobie.

Nie drżała już, nie bała się niczego, ale była przedziwnie bezsilna. Na jedną chwilę oczy tylko przymknęła, a zaraz opuściło ją wszystko. Cała moc. Podparł ją ramieniem poważnie i po męsku i czekał, aż zupełnie przyjdzie do siebie.

— Paniczu! szepnęła.
— A?
— Pójdziesz spać, paniczu?
— Nie, nie pójdę. Poco?
— Niech się Panicz położy, paniczu. Trzeba.
— Nie, nie! Nie ruszaj się chwilę. Tak... dobrze.

Głos mu trochę drżał, ale lekko, leciutko.

— Paniczu!...

Nic nie odpowiedział. Odemknęła powieki i zajrzała mu w twarz.

Co on widział! Na co patrzał! Czego chciał!

Szukała wzrokiem oparcia jego wzroku i znalazła na własnej piersi. Patrzał przez dekolt w bluzce na jej pierś i dziwił się na twarzy. Ogromnie. Widział pierwszy raz. Pierwsze odkrycie zrobił.

Chciała się zawstydzieć, ale on się nie wstydził. I nie krył się wcale i był tylko zdumiony, zajęty cały i ciekaw. Czołem, oczami, nosem i podbródkiem zdawał się pytać: — Co to?

Powoli, sennie odpięła guziki i obie piersi podała mu blizko. — Patrz! Chcesz widzieć, to masz! Wszystko!

Nie słyszeli, nie widzieli niczego, sobą tylko zajęci. Jeden wzajemny oddech ważył się w powietrzu. W pewnej chwili szepnęła: — Mój maleńki!...

**
*

Ocknęli się dopiero, gdy już blizko przy łóżku Magdalena stała, cztery baby — kumoszki i Hektor. Hektor je tu sprowadził o Panicza zazdrosny. Wszystkiemi Hektor winien, Hektor Doberman, czarny podły pies!

Poprzez szum w uszach, poprzez słabość i drżenie słyszała Agata krzyk i zgiełk. Poprzez łzy widzia-

ła, jak się Panicz ubierał. — Czerwony na twarzy, z oczyma na ziemi, szelki zapinał i pozwalał na wszystko. Na babski wrzask, na śmiech i wstyd.

— To ty, ścierko parszywa, tyś wszystkiemu winna! Panicza ci się zachciało, aniołka! To ty, dziewko plugawa! przeklinała kucharka.

Ale Agata o czem innem myślała. Zdało się jej, że przed chwilą grał gramofon i przestał. Ta sama melodja. W połowie zamknięta. Niedosłyszana do końca.

* * *

Na cmentarzu w Celejowie, w rogu między parkanami rośnie drzewo. Mogił nijakich dokoła, tylko jedna u stóp. Zbita, skopana, wygnana w ciemną noc... dokąd miała iść Agata?... Do Celejowa poszła. Na grób Wielkiej Cioty.

Karty jeno zabrała, ostatnią po Szczegocie pamiątkę i poszła. Poszczuli jej na drogę psa. Trzy wiorsty drogi dzieliło dwór od cmentarza.

Ciemno jeszcze było, gdy do grobu doszła. Usiadła na mogile, o pień się oparła i długo dyszała pod drzewem. Ze zmęczenia i z żalu. Żal tu ze sobą przyniosła, ogromny żal do Łukaszka.

Panicz! Ach! Łukaszek!... Patrzał na jej całą poniewierkę, widział jak się Magdalena znęca i noc. Nic nie powiedział. Jednego słowa!...

Cicho było na cmentarzu na grobie, tylko nocny wiatr w gałęziach szumiał. Księżyc wypłynął na niebo i zobaczyła przy księżycu, jak na drzewie, śród liści ptaki śpią.

Zapatrzyła się na śpiące ptaki i także zasnęła.

Dużo — dużo rzeczy zapomnieć musiała we śnie. I tych, co już przeszły i tych, które dopiero nadejdą. Przebudziła się świeża i zdrowa, — nie ta sama, inna od tej, która zasnęła, — jakby trochę szczuplejsza i dużo — dużo młodsza.

Odetchnęła głęboko — głęboko, potem oczy otwarła. Była w cieniu. Słońce ranne świeciło, lecz nie na nią. Grzało słońce, chciała wyjść na słońce i nie mogła. *Ciągle była w cieniu.* Szła, a drzewo szło za nią i cień także. Gęsty.

Długie lata szła do słońca. Szła i szła. Powielekroć wszerz i wzdłuż cały kraj przebiegła, szukając nadaremnie tego, co zgubiła we Dworze nad Dwoma Stawami...

Jerzy Kornacki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Czechosłowacki minister spraw zagranicznych na powitanie Nowego Roku zamieścił na łamach „Prager Presse" wielki artykuł na temat „Dokąd idzie Europa"? Na postawione w tytule pytanie odpowiada, że celem do którego zmierza świat jest właściwie realizacja najszczytniejszych haseł Wielkiej Rewolucji — 1789 r.: wolności, równości i braterstwa.

Droga do tej realizacji jest ciężka i nic dziwnego, że swoje wywody kończy czechosłowacki mąż stanu tak: „Nasze pokolenie żyje w epoce bardzo interesującej ze stanowiska historji, ale niezmiernie uciążliwej i pełnej poważnych odpowiedzialności".

W odpowiedzi na to jeden z publicystów węgierskich na łamach „Pester Lloydu" (półoficjalnego organu w Budapeszcie) przytoczył znaną anegdotkę. W czasach wielkiej wojny jeden z książąt tłomaczył rabinowi z Galicji, że żyjemy w wielkich czasach, na to sędziwy rabin odpowiedział:

— Niestety! — tak! Wasza Książęca Mość! — w wielkich czasach".

Te wielkie czasy dokuczyły masom ludzkim i chętnie za przykładem galicyjskiego rabina opatrują ich epitet przysłówkiem — „niestety" z wykrzyknikiem.

Aby od tej dotkliwie wielkiej teraźniejszości odciągnąć uwagę mas, zaprzątą się im głowę polityką, t. zw. mocarstwową, prowadzącą do rozdrażnienia narodowościowego, sporów i zatargów.

Pod tym względem najbardziej charakterystycznym i wymownym staje się ostatni zatarg Italji z Jugosławją, który w ciągu ostatnich tygodni nie tylko nie słabnie i nie zmniejsza się, ale przeciwnie rośnie, szerząc się z niezwykłą wprost szybkością, zarażając wszystko dokoła tkwiącym w nim mikrobem nienawiści i walki. Charakterystycznem jest już to samo, że powstał on i rośnie pomiędzy dwoma państwami o systemie rządów dyktatorskim.

Stąd płynie brak możliwości dla rozwikłania zatargu, wyjaśnienia go i skierowania na drogi ludzkiego porozumienia.

Były minister spraw zagranicznych Italji, hr. Sforza przypomina w „Le Soir" brukselskim, jak to było w 1920 r., kiedy i Italja i Jugosławja rządzone były konstytucyjnie. Dojrzewał wówczas zatarg nie słabszy od obecnego, opinja publiczna obu państw była podniecona, ale wiedziała, o co chodzi. Przedstawiciele obu rządów parlamentarnych potrafili wówczas spotkać się w Rapallo i w listopadzie 1920 r. zawrzeć tam układ, którego najważniejsze podstawy jeszcze teraz stanowiłyby dla obu państw rękojmię spokoju i dobrych sąsiedzkich stosunków. Układ z Rapallo 1920 r. gwarantował m. in. Włochom w Dalmacji pewne przywileje narodowościowe, o których teraz niema mowy.

Dzień w dzień z łamów prasy włoskiej padają oskarżenia i zarzuty pod adresem Jugosławji i Francji. A nawet wówczas gdy Paryż śle ambasadora — medjatora w osobie sen. Henryka de Jouvenel'a, w „Corriere della Sera" rozlega się żółciowy i wściekły atak, zarzucający Francji, iż gromadzi złoto na wojnę z Włochami.

— Kasa pancerna Banku Francji — pisze p. Carbonelli — winna być uważana za prawdziwą beczkę dynamitu, przechowywaną w sercu metropolji o tysiącu świateł".

Inni szukają tego dynamitu po przeciwnej stronie. Faszysta Antonio Aniante ogłosił książkę p. t. „Mussolini", w której dowodzi, że Il Duce dąży wyraźnie i świadomie do wojny z Francją.

— Francuzi — pisze on — byliby głupcami, gdyby sądzili, że Mussolini wziął w swe ręce władzę, by pozostać zamkniętym w swoich granicach, byliby lekkomyślni, gdyby nie widzieli w nim jednego z głównych twórców losów Europy i Francji przedewszystkiem.

P. Aniante, pozostając w zasadzie stronnikiem faszyzmu, musiał oczywiście uciec z Italji, schronił się w Paryżu, gdzie wydano jego książkę. Uważał, że spełnia swój obowiązek wobec Włoch i wobec Francji, ostrzegając w porę: „Jutro — kończy wstęp do książki — pożar rozszerzy się, nie mamy wody w zbiornikach, aby go stłumić. Jest późno, zapada noc, a źródła wody są daleko".

Na to ponure ostrzeżenie odpowiedział z pasją obecny akademik, ongiś światoburczy futurysta Marinetti. Powołując się na swą dawną przyjaźń dla Francji i zażyłość z artystami francuskimi, Marinetti oświadcza, że „pamflet" Aniante'go jest bezzasadny, bo Mussolini „nie jest kwiożerczym organizatorem wojny z Francją", a faszyzm „nie jest ustrojem dzikiej brutalności wymierzonej przeciw życiu umysłowemu".

Porywczy protest Marinetti'ego jest jeszcze jasnym promieniem w zaciekłej polemice francusko-włoskiej, ale czy wystarcza on, aby rozproszyć noc nadchodzącą, którą zaobserwował Aniante?

Czy wystarczy dla rozjaśnienia horyzontu fakt, iż prasa włoska ostro charakteryzuje stosunki wewnętrzne w Jugosławji, dostrzegając w nich ucisk, brak tolerancji, gnębienie Chorwatów i Słoweńców, fałsz tak zwanego parlamentu belgradzkiego, wybranego na rozkaz z góry? O tem, co dzieje się i nawet czego niema w Jugosławji w dziedzinie polityki wewnętrznej prasa włoska podaje codzień całe szpalty. Jeżeli prasa serbska nie odwdzięcza się tem samem, to dlatego, że niema żadnych źródeł wiadomości o Italji oprócz faszystowskich.

Gdyby to naprężenie mogło zakończyć się uzdrowieniem stosunków wewnętrznych w Jugosławji, byłby to doprawdy niezwykle szczęśliwy obrót wypadków. Do tego wezwało opinję serbską memorandum wybitnej grupy działaczów angielskich, którzy po zwiedzeniu Jugosławii, ogłosili na łamach „Manchester Guardian" w końcu ubiegłego roku obszerny memorjał. Wzywają oni czynniki miarodajne w Belgradzie do „przywrócenia konstytucji federalistycznej". Odezwę tą podpisali m. i.

Gilbert Murray, Seton Watson, Wickham Steed i wielu innych.

Niektóre wieści, dochodzące z Belgradu, świadczą, jak gdyby o tem, że ten doniosły głos z Londynu, został usłyszany.

Można być pewnym, że groźne naprężenie minie, gdy choć jeden z partnerów przywróci bieg swego życia politycznego do normalnego łożyska.

Czyż w warunkach legalności jest mało do roboty u siebie w kraju w tych („niestety"!) wielkich czasach? Nawet dyktatorski Mussolini wie o tem bardzo dobrze, bo potrafi swoje talenty organizacyjne zużyć na inną robotę, na pracę twórczą wewnątrz kraju, która zostanie zawsze zapisana na jego dobro, nawet wówczas, gdy o faszyzmie w ustroju państwa już nikt nie będzie pamiętał.

Np. podźwignięcie z topieli błot i bagien Pontyjskich osady Littoria w odległości 60 km. od Rzymu, wykonanie w ciągu 4 lat pracy, której nie potrafiono za Cezarów i Papieży wykonać w ciągu 2500 lat — oto dzieło, którem ma prawo szczycić się obecny premjer Italji. 10.000 rolników znalazło tam dach nad głową, pracę i chleb. Dalsze prace zamierzone dadzą to szczęście jeszcze 40 czy 50.000 ludziom. Gdy na ten temat mówi Benito Mussolini z pompą i emfazą, nikt nie dziwi się i nie ironizuje. Gdy wyznacza terminy, w których mają być wykończone dalsze fazy tego dzieła: 28.X. 1933 — stanie 981 nowych domów na bagnach Pontyjskich, 21 kwietnia 1934 r. — odbędzie się inauguracja nowej osady — Sabaudia, 28.X. 1935 — stanie trzecia osada Pontinja — tych zapowiedzi słucha się z zapartym oddechem i życzy się, aby zostały spełnione, aby nie stanął im na przeszkodzie zły duch nienawiści i wojny, rozsiewany w innych mowach i dziełach.

Tlejący zdala od nas spór włosko-jugosłowiański musi zwracać naszą baczną uwagę, bo stanowi on węzełek, do którego ciągnie burza wszechświatowa. Dość zanotować różne tajemnicze podróże dyplomatów, rozmowy, konferencje, wszystko za kulisami, w okresie, gdy niby nie uznaje się tajnej dyplomacji, aby zdawać sobie sprawę, że czas najwyższy ostrzegać.

W porę też rozległ się głos ostrzegawczy przyjaciela zmarłego prezydenta Wilsona, pułk. House'a, który w tygodniku „Liberty" upomniał swoich rodaków, by nie trwali „przy sztywnym konserwatyzmie". Upomnienie jego można zaadresować do całego świata, bo istotnie, czyż nie jest „najpoważniejszym sposobem wywołania rewolucji, postępowanie drogą krańcowej reakcji". Sztywny konserwatyzm — pisze dalej— prowadzi do przewrotu i dyktatury w stylu Lenina.

Słuszne upomnienie pułk. House'a można adresować nietylko do Amerykanów i dodać, że nietylko „krańcowa", ale każda reakcja wywołuje te same skutki.

St. Gr.

SPROSTOWANIE

W „Przeglądzie politycznym" poprzedniego n-ru „Epoki" przy łamaniu szpalty wypadła cytata z artykułu p. Birnbauma w „Vossische Zeitung".

LISTY DO »EPOKI«

I.

Słuszne jest stanowisko *Widza*, zajęte w 1 (14) nr. „Epoki" w dziale „Refleksje" (artykuł: „Parę sprostowań") wobec aforyzmu: „Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a reszta sama się złoży"...

A jednak...

...ilekroć rozmawiam z chłopami, a gadam często, i zaczną się wobec mnie uskarżać na rząd, urzędników, nauczycieli, policję, Polskę, wtedy — choć jestem opozycjonistą w stosunku do obecnego regime'u — odpowiadam:

— Obejrzeć się po sąsiadach, spenetrować własne podwórka, przewrócić w domu... Proszę zajrzeć w siebie. Czy jest zło u sąsiadów, na waszych podwórkach, w waszych domach? W was?...

Zawsze milczą zakłopotani.

Tak: to moje przekonanie: zaczynać od siebie. Wyrzucić ze siebie zło. Zrobić porządek w domu, w rodzinie. Potem we własnym ogródku, na swem podwórku, na swoim zagonie. I dopiero zabierać się do sąsiadów. Postawić na nogi całą wieś. Wówczas można przenikać do innych wsi. Objąć działaniem gminę, powiat, parafję... Polskę.

Widz ma słuszność, gdy głosi ze szpalt „Epoki": „Czyń każdy dla Wielkiego Koła", ale...

Moje stanowisko jest równie słusznem. Zresztą: zaczynanie od siebie — to odwieczny problemat. Problemat znany przemądrym Grekom starożytnym, wyryty na bramie świątyni delfickiej Apollina, głoszony przez Sokratesa. „Poznaj siebie". To problemat, wznowiony przez Chrystusa. „Medice, cura te ipsum"... A teraz wynoszony przez psycho-analityków, którzy z „duchowych piwnic" na światło dnia starają się wynieść wszystkie przejawy stanów pozaświadomości dla dokładnego poznania siebie.

Poznać siebie, odrobić pracę wokoło siebie — oto tak pojmuję ów aforyzm: „Czyń każdy w swem kółku i t. d." I dopiero wówczas czas na pracę „dla Wielkiego Koła". Praca w swem kółku musi być fundamentem tej wielkiej pracy dla Wielkiego Koła, ma i musi być punktem oparcia, odskocznią, nieodzownym warunkiem tamtej.

Szreńsk. *Tadeusz Kuligowski*

II.

List czytelnika, zamieszczony w Nr. 2 (15) „Epoki" dowodzi, nie, jak chce autor, nieporozumienia, tkwiącego w tytule mojej recenzji („Donkiszoterja reakcji"), ale opacznego rozumienia pojęcia donkiszoterji przez autora listu.

Donkiszoterja nie jest jedynie wiarą w moc ideału. Takie określenie przesłania inne oblicze wielostronnego pojęcia donkiszoterji: jest to *organiczny brak zmysłu rzeczywistości* — i tu właśnie spoczywa akcent tytułu mej recenzji, którą kończę: „projekty, godzące w zdobycze socjalne... są wyrazem wstecznictwa społecznego, któremu *brak poczucia rzeczywistości* współczesnej. Jest to donkiszoterja reakcji."

Niespodzianie przychodzi mi w sukurs red. Wasowski, który w artykule „Jedyna droga", pisze: „Zastój zniewala do obniżenia kosztów produkcji. Trzeba więc... przekreślić zdobycze socjalne świata pracy. Rozumowanie proste i logiczne, lecz niemasz nic bardziej *fantastycznego*, niż ten prosty i logiczny wywód. Pominięty tu został szczegół o wadze decydującej: czy likwidacja zdobyczy da się uskutecznić?... Trzeba być doszczętnie *pozbawionym poczucia rzeczywistości*, by sądzić, że na tej drodze możliwy jest nawrót do czasów, kiedy świadoma wola mas nie istniała".

Spokojny ton mojego artykułu skłania czytelnika do apelu o „bardziej brutalną postawę". „Epoka" nie jest właściwym terenem dla wymysłów. Uznając jednak potrzebę niektórych ludzi do uświadamiania sobie pewnych spraw w sposób dobitny i „brutalny" — odsyłam autora listu do „Pamiętników bezrobotnych", które wszystko nazywają po imieniu.

Józef Szpecht

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Albertowi S. Czaykowskiemu w Chelmsford'sie (Anglja). Dokumenty w sprawie gnębienia Macedończyków zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. Z artykułu i z poezji nie skorzystamy.

P. Anieli W. w Gródku-Jagiellońskim. Niestety, sensacyjny posmak noweli nie pozwala nam drukować jej. Niepotrzebnie wplotła Pani w opis autentycznych a wstrząsających wypadków intrygę miłosno-kryminalną. Prosimy o nadsyłanie dalszych prób.

P. Leopoldowi G-cz. w Poroninie. Myli się Sz. Pan przypuszczając, że my uprzedzamy się do autora, którego pierwsze nadesłane prace „do kosza powędrowały". Czytamy, oczywiście, wszystkie w kolejności. Wskutek tego, mimo dwóch listów i karty pocztowej, jakie od Pana otrzymaliśmy, radzimy czekać cierpliwie na swoją kolejkę. Za życzenia dziękujemy.

P. Hani M. w Brodnicy. Czy Pani nie wstyd o takiem pięknem miasteczku, jak Brodnica, pisać takie brzydkie rzeczy? Nie można małomiasteczkowych ludzi nazywać „plugastwem", dlatego tylko, iż nie mieszkają w Berlinie, Wiedniu, czy Warszawie. W noweli pani owa rzekoma chandra, czy spleen wielkomiejski — to przejaw bardzo brzydkiego snobizmu. Gdybyśmy prowadzili dział „Camera obscura", moglibyśmy zamieścić który z utworów Pani, — ale niestety...

Panu L. Łaganowskiemu w Częstochowie. Będziemy wysyłali.

Panu W. Zawadzkiemu w Krakowie. Dziękujemy.

Panu Kazimierzowi L. w Gdyni. Nie nadaje się. Za dużo liryki, westchnień, błagań, zaklęć. Co innego — zapał, wiara i entuzjazm, a co innego — egzaltacja.

Pani Janinie M. w Warszawie. Więcej rzeczowego materjału!

Panu Z. L. W. w Łodzi. Znajdzie Pan w dziale „Najnowsze książki".

TREŚĆ NUMERU:

KSIĄŻKI NADESŁANE

Joseph Collomb: Klinika znachorów. Przekład Janiny Sujkowskiej. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Rufus King: Pieniądze albo życie. Przekład Janiny Sujkowskiej. Tow. Wyd „Rój". Warszawa, 1933.

Jarosław Iwaszkiewicz: Panny z Wilka. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1933.

Boy-Żeleński: Śmiech, uśmiech i zgroza. Wydanie II. Bibljoteka Boya. Warszawa, 1933.

Hanna Mortkowiczówna: 30 kolegów z całej Polski. Wiersze i obrazki. Tow. Wydawnicze w Warszawie, 1933.

Prof. Antoni Bolesław Dobrowolski: Zagadnienie szkoły powszechnej, jako zagadnienie naszej cywilizacji. Nakładem autora. Warszawa 1932.

Konstanty Symonolewicz: Miraże Mandżurskie. Skład Główny Gebethner i Wolff. Warszawa 1922.

Arnold Zweig: Młoda kobieta z roku 1914. Przekład Wandy Kragen. Tow. wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

NIEZWYKŁY SUKCES GILZ POLSKICH W TURCJI.

Niedawno Państwowy Monopol Tytoniowy w Turcji zwrócił się do wynalazcy Tytoniówek w sprawie nabywania ich dla swoich wyrobów. Jak wiadomo, Tytoniówki wyrabiane są z włóknami liści tytoniowych i w ten sposób niezwykle uszlachetniają smak papierosów, zwłaszcza, że obecnie jako surowca używa się do ich wyrobu najszlachetniejszych gatunków tytoniu. Zainteresowanie Turcji tym epokowym polskim wynalazkiem jest bardzo znamienne, gdyż Turcja ogólnie uchodzi, jako klasyczny kraj palaczy.



Od administracji

Prosimy Sz. Czytelników o odnowienie prenumeraty za I-y kwartał 1933 r.

Sz. Czytelnikom, którzy nie nadeślą przedpłaty do dnia 25 b. m., będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6. (Konto P. K. O. Nr. 26.630)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-34 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.